CZYTELNIA NIEDZIELNA.

ROK DRUGI, 1857.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 391.

1857.

CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

ROK DRUGI, 1857.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA.

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

—

1857.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 7 (19) *Grudnia* 1857 *roku.*

Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański.**

ROK DRUGI.

№ 1.

Warszawa

Dnia 23 Grudnia (4 Stycznia) 1857.

Niedziela 1sza po NOWYM ROKU.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci i tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Kto idzie za mną, nie chodzi w ciemnościach, mówi Pan. Słowa to są Chrystusa, napominające nas, abyśmy życie Jego i obyczaje naśladowali, jeśli chcemy dostąpić prawdziwego światła i uwolnić się od wszelkiéj serca ślepoty. (O naśladowaniu Chrystusa, Ks. I, Roz. 1).

Rok Zwyczajny i Przestępny.

Pan Jan, poczciwy i zamożny majster kołodziejski, między swoimi terminatorami miał jednego bardzo pracowitego, wesołego i roztropnego chłopca, któremu Oleś na imię było. Ten tedy Oleś przekładając razu pewnego zebrane z lat kilkunastu kalendarze, ujrzał z zadziwieniem, że na niektórych było napisane: *rok przestępny, mający* 366 *dni*, na innych zaś tylko *rok zwyczajny, mający* 365 *dni*. Uderzony tém nadzwyczajnie, zaczął zastanawiać się, dlaczegoby lata nie były równe sobie? Po długich a głębokich zastanowieniach uczynił wreszcie bardzo stosowny wniosek, że najlepiéj zrobi, gdy zapyta się o to p. majstra. U Olesia pomyśleć, a zrobić, prawie jedno znaczyło; biegnie tedy do majstra i mówi:

—Niech mi p. majster z łaski swojéj powie, dlaczego jedne lata są dłuższe od drugich o jeden dzień— dlaczego rok dłuższy nazywa się rokiem przestępnym?

—Dobrze mój Olesiu! zaraz ci to wytłumaczę, ale wpierw powiedz mi, zkąd wiesz, że jedne lata mają 365, a drugie 366 dni?— A bo proszę p. majstra, do kościoła jeszcze za rano, więc wziąłem sobie kalendarz *Ungra*, żeby się dowiedzieć, co to dawniéj działo się z Warszawą, albo dlaczego to niektóre ulice mają takie dziwne nazwiska? i na okładkach tego kalendarza przeczytałem te wyrazy: *rok przestępny* 1856, *który ma* 366 *dni*. Żadnym sposobem nie mogłem zrozumieć, co to znaczy rok przestępny? myślałem, że na innych kalendarzach jest to wytłumaczone. Tymczasem nietylko że na nich nie znalazłem wytłumaczenia, ale wyczytałem nową dla siebie zagadkę, bo na kilku tylko było napisane, że rok ma 366 dni i nazywa się *przestępnym*, a inne mają 365 dni i nazywają się *zwyczajnemi*. Myślałem i myślałem, zkądby to pochodziło, ale nic nie mogłem wymyśleć; spostrzegłem tylko jeszcze, że każdy rok przestępny kończy się zawsze jedną z cyfr 2—4—6—8 albo 0. Otóż ponieważ p. majster zawsze kazał się pytać siebie o to, czego nie mogę zrozumieć, więc ja też przyszedłem o to wszystko się wypytać.

—Dobrze mój kochany Olesiu robisz, że tak nad wszystkiem się zastanawiasz, i że tak

z czasu umiesz korzystać. Zaraz ci wszystko wyjaśnię, tylko słuchaj mnie uważnie.

Wczoraj po fajerancie, bawiłeś się na podwórzu, tylko co ukończonem kołem, taczałeś je naokoło studni— otóż widziałeś, że ono, obracając się około swojéj osi, jednocześnie obchodziło, w pewnéj odległości i studnię.— Cóż, wszak widziałeś to Olesiu?

Widziałem p. majstrze!

To zauważyłeś także i to, że koło do obejścia studni naokoło, potrzebowało przynajmniéj 3 minut czasu, i że w tym samym czasie obróciło się około swojéj osi przynajmniéj ze sto razy— rozumieszże mnie?

Rozumiem p. majstrze.

No, to uważaj daléj!— Jak koło obchodziło studnię, tak ziemia nasza, ze wszystkiem, co na niéj się znajduje, obchodzi naokoło słońce; jak koło obracało się około swojéj osi, tak i ziemia obraca się naokoło siebie saméj, jak koło jednocześnie odbywało dwa te ruchy, tak samo też i ziemia razem je odbywa.—Lecz koło obiegało studnię we 3 minuty, a ziemia do obieżenia słońca potrzebuje 365 dni i prawie godzin 6 (t. j. godzin 5, minut 48 i sekund 48).

Zrozumiałeś mnie dobrze?

O! zrozumiałem p. majstrze!

Więc słuchaj daléj. Jak tylko uczeni ludzie zauważyli ten ruch ziemi, zaraz tak sobie powiedzieli: ponieważ ziemia zawsze a zawsze tyle czasu potrzebuje do obieżenia słońca, i nigdy ani prędzéj, ani późniéj obrotu tego nie uskuteczni, więc weźmy ten czas do mierzenia naszego ziemskiego czasu. Co powiedzieli, to i zrobili, i cały ten czas, to jest 365 dni i 6 godzin prawie nazwali *rokiem astronomicznym*.

Ale że rok taki nie byłby dogodnym do zwyczajnego mierzenia czasu, bo jakoś dziwnieby wyglądało do całego roku dodawać 6 godzin, więc znowu powiedzieli sobie, opuszczajmy te 6 godzin, i rachujmy rok za równe 365 dni. Co powiedzieli, to i zrobili, i rok taki nazwali rokiem *kalendarskim*, czyli *zwyczajnym*.

No, cóż Olesiu! rzozumiesz mnie?

O! i bardzo dobrze p. majstrze!

No, to powiedzże mi, jaki to błąd popełniamy biorąc rok zwyczajny, zamiast astronomicznego, który istotnie brać powinniśmy.

Sześć godzin mniéj rachujemy na każdy rok, p. majstrze!

Dobrze, wiele też to uczyni przez 4ry lata? Dwadzieścia cztery godzin, czyli całą dobę.

Bardzo dobrze. Otóż żeby te 6 godzin nie przepadały, to co cztery lata, utworzoną z tych godzin dobę dodają do roku zwyczajnego, i ztąd to co cztery lata rok zwyczajny ma nie 365, ale 366 dni, i taki to właśnie rok nazwano *przestępnym*, dlatego, że on niejako przestępuje błąd, czyli 6 godzin.

Rozumieszże teraz Olesiu, co to znaczy rok przestępny, i dlaczego on na ma 366 dni?

O! i jak jeszcze rozumiem p. majstrze!

Sam nawet teraz widzę, że rok przestępny musi być co 4 lata. Nie wiem tylko jeszcze, dlaczego taki rok kończy się zawsze na jednę z cyfr 2, 4, 6, 8 albo 0.

Kiedyś dotąd tak dobrze, wszystko zrozumiał, to i to łatwiéj jeszcze pojmiesz. Weźno kawałek kredy i pisz na tabliczce liczby, jakie powstaną z dodawania się do siebie 4ch.

Natychmiast p. Majstrze.

Teraz przeczytaj to, co napisałeś.

Cztery, 8, 12, 16, 20, 24, 28, 32.....

Dosyć. Widzisz, że liczby te kończą się na 4, 8, 2, 6 i 0, i znowu poczynając od zera powtarzać się będą ciągle i bez końca. Liczby te powstały z dodawania do siebie 4, a że i lata przestępne nadchodzą także, jak to już wiesz, co cztery lata, więc ich liczby, które również powstały z ciągłego dodawania czwórek, koniecznie kończyć się muszą na jednę z powyższych cyfr, które nazywają się parzystemi.

Ztąd masz łatwy sposób poznania, który rok jest przestępnym; bo ponieważ liczba takiego roku powstała z ciągłego dodawania liczby 4, więc i naodwrót liczba roku przestępnego musi dać się podzielić bez reszty przez cztery.

Jeżeliś to zrozumiał, to powtórz mi, jakim sposobem poznać, czy rok jest przestępnym?

Potrzeba p. majstrze, liczbę wyrażającą rok, podzielić przez cztery, jeżeli nie będzie żadnéj reszty, to rok jest przestępnym, w przeciwnym zaś razie rok będzie zwyczajny.

No, bardzo dobrze mój Olesiu! kontent jestem, że tak wszystko dobrze pojmujesz, i tak o wszystko się dopytujesz.

Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć o drugim ruchu ziemi, to jest o jéj obrocie około siebie saméj; jakim to dzieje się sposobem, że ziemia nie będąc na niczem opartą, może się około słońca i razem około siebie saméj obracać? Ale że mój mały Ludwiczek już drzemie, bo jak

dziecko nic zrozumieć nie może, więc o tem wszystkiem późniéj ci kiedy opowiem, tylko pamiętaj mi przypomnieć. No! a teraz dzieci do zabawy, tylko żwawo i wesoło.

Stary Pan, i stary pies.

(Obrazek miejski).

—

Z wycieczek moich zamiejskich lubię najwięcéj przepędzić kilka chwil wolnych od obowiązkowych zatrudnień, nad brzegami Wisły. Urodzony i wychowany na wsi, postawiwszy nogę na bruku miejskim, zatęskniłem do świata, jakim go Bóg stworzył, a nie ręce ludzkie przybrały, i odrazu za cel moich przechadzek obrałem brzegi téj matki naszych rzek, która orędowniczkę naszych grodów, starą Warszawę otula w swoje ramiona. Piękny wiosenny poranek, albo wieczór księżycowy, widziały mnie nie raz, nie tysiąc razy z téj, lub z tamtéj strony rzeki, obliczającego się z wrażeniami, lub goniącego w myślach za przeszłością. Czasem mnie ktoś zaciekawił, czasem ja kogoś zainteresowałem, i tak przeplatało się jednostajne chwile wiejskiego życia.

Zaraz w pierwszym roku moich wycieczek zauważyłem człowieka, który wyróżniał się z tłumu spotykanych postaci; przychodził najczęściéj wieczorem około godziny dziesiątéj, na brzeg od strony Pragi naprzeciwko kościoła Panny Maryi, siadał na murawie, i czasem godzina jedna i druga upłynęła, a on nie ruszył się z miejsca, nie odwrócił nawet głowy, tylko patrzył wciąż na Wisłę, na niebo gwiaździste, i w palcach przesuwał paciorki różańca.— Mógł mieć około piećdziesięciu lat, nosił się czysto, ale ubogo; długi czarny surdut, rogaty kaszkiet z obszernym daszkiem były świątecznym i powszednim jego strojem — widywałem go bowiem i w święta i w inne dnie tygodnia. Nieodstępnym jego towarzyszem, po którym można go było zdaleka rozpoznać, był duży kasztanowaty pies, widać dobrze już stary, bo oczy miał wgłąb zapadłe i pysk całkiem siwy. Nieraz ledwie nogi stawiał za swoim panem, i kładł się na ziemi, jak tylko przybyli na zwykłe miejsce.— Raz nawet kiedy strudzony, czy chory, nie mógł już wydążyć, pan od mostu wziął go na ręce, i choć sam zbytkiem sił nie mógł się cieszyć, dodźwigał, jak mógł swojego ulubieńca.

Przyznaję, że wielką miałem chętkę wdać się w rozmowę z owym poważnym człowiekiem, ale widząc go nadzwyczaj obojętnym na wszystko, co go otaczało i zajętym tylko Wisłą i pacierzem, nie wiedziałem zkąd zacząć, i czekałem sposobności, ktoraby nas do siebie zbliżyła.

Raz około dziewiątéj wieczorem przechodziłem na Pragę, i w połowie mostu spostrzegłem starego pana, dążącego powoli do celu swoich przechadzek. Za nim o parę kroków szedł stary pies z głową zwieszoną, z oczyma nawpół przymkniętemi. Nie chciałem ich wymijać, aby dłużéj mieć przyjemność przypatrywania się téj interesującéj grupie, i szedłem za nimi powoli. Od Pragi wracały tłumy chłopaków, zapewne z kąpieli, przyśpiewując sobie wesoło, popychając się wzajemnie, częstując kułakami, a czasem dla uciechy przewracając koziołki.— Dwóch, czy trzech spostrzegłszy psa, jednym tchem stanęli przy nim, okręcili łeb fartuchami i daléj ciągnąć go do krawędzi mostu, aby sprobował wiślanéj kąpieli. Starzec tego nie spostrzegł, bo szedł przodem,— pies nie zaskowyczał, bo łeb mu fartuchem ścisnęli; przyskoczyłem więc do urwisów, i trochę groźbą, trochę kijem wymogłem zawieszenie broni; to jest, że nie puścili zupełnie swojéj zdobyczy, ale wstrzymali się przynajmniéj z wykonaniem wyroku. Starzec posłyszawszy hałas, obrócił się, i jak ojciec widzący jedyne dziecię nad przepaścią, rzucił się na chłopców, wydarł im drżącego ze strachu psiaka, dał jednemu i drugiemu po uszach, i z czułością zaczął tulić do piersi swojego towarzysza.

—Dziękuję panu— rzekł, uspokoiwszy się;— Pan nie wiesz, jak wielką wyświadczyłeś przysługę, ocalając nam życie.

—Jakto nam? zapytałem zdziwiony.

—A tak nam,— bo i ja byłbym skoczył za nim do Wisły. Pies stary— mnie już krzyżyków nie brak, a tu taki war—zginęlibyśmy oba z pewnością.— Dziękuję Panu.

Podałem rękę zacnemu człowiekowi, dojrzałem bowiem w jego oczach i w rysach twarzy, że mówił prawdę, że byłby nie wahał się zaryzykować życia dla ocalenia ulubionego zwierzęcia.

Idąc już daléj razem, rzekłem:

—Jednak szczególne muszą być zasługi tego psa, kiedy go pan tak cenisz.

—Masz pan racyą, że szczególne—odpowiedział starzec,— ja temu zwierzęciu winien jestem, żem przed kilkunastu laty życia nie stracił.

Nie patrz pan na mnie tak niedowierzająco, ciągnął daléj, powiedziałem zupełną prawdę, którą nieraz w mojem życiu i niejednemu już powtórzyłem.

—A ja nie mógłbym być tyle szczęśliwym?

—Znać, że pan żyjesz pomiędzy takimi ludźmi, którzy szczęście we wszystkiem widzą, i dlatego naprawdę nigdy go nie znają, kiedy mówisz, że ja mógłbym cię uszczęśliwić.—Ale mniejsza o to, chodź pan ze mną, tam nad brzeg, to pogadamy sobie trochę.

Gdyśmy usiedli, starzec spojrzał w niebo, potem na Wisłę, potem pogładził leżącego u nóg Kasztana, i rzekł:

—Nie wierzyłeś Pan, że to zwierzę mogło wyświadczyć mi tak wielką przysługę.—Panie! panie! a widzisz pan tego robaczka, który pełza po piasku, to dźbło trawy, które w téj chwili ręką przygniatasz? robaczek, trawka, marnota, a jednak gdy Bóg zrządzi, jakże człowiekowi mogą być szkodliwe lub pomocne! Robaczek przyniesie jad ukryty, trawka da lekarstwo w chorobie, a to wszystko nie robaczek, nie trawka, ale Bóg! Posłuchaj więc uważnie. Ojciec mój był kowalem, z początku pracował od świtu do ciemnéj nocy, aby dać kawałek chleba żonie i trojgu dziatkom; ale praca, wytrwałość, statek, bojaźń Boża i miłość ludzka dopomogły mu do złożenia sobie pierwszego tysiąca złotych. Czasy były dla ludzi jego professyi bardzo dobre; nieprzeliczone pułki różnych wojsk przechodziły przez nasz kraj, opierając się najczęściéj o Warszawę. Ow pierwszy tysiąc złotych pomnożył się wkrótce w dziesiątki, daléj w setki, a w ostatku i w krocie. Ojciec rzucił rzemiosło, kupił dwie czy trzy kamienice na Nowem mieście, i zaczął posyłać nas do szkół.—Mój brat starszy chorowity, kaleka, umarł, siostra wyszła za mąż, na mnie jednego zlało się przywiązanie obojga rodziców, posunięte aż do zaślepienia. Skończyłem szkoły, ojciec chciał mnie oddać do uniwersytetu, ale książki i nauka zbrzydły mi,—pokazałem ojcu nasze piękne dwu i trzy-piętrowe kamienice, i rzekłem, że i bez dalszéj nauki będzie mi dobrze na świecie.

Trafiłem ojcu w jego słabość, bo lubił bardzo, kiedy mu powtarzano, że jest panem. Nic dziwnego, człowiek, który taką ciężką pracą dorobił się majątku, musi chlubić się swojem dziełem. Uściskał mnie więc jeszcze za mój koncept, i pozwolił mi, jak to mówią, zbijać bąki i grać rolę panicza. Pieniądze zakryły przed oczyma świata prostą podkowę, przyjęto mnie w towarzystwo, i choć może krzywiono się za oczyma, w oczy ściskano za ręce, bom wyprawiał sute śniadania, podwieczorki, bom pełną ręką rozrzucał pieniądze wymuszone na ojcu tym jednym wyrazem, *„ja chcę być im równy“*. Ale ta równowaga zaczęła się wreszcie przykrzeć ojcu; raz i drugi upomniał, a potem dał poznać, że ręka, która przez lat tyle uderzała młotem, może wziąć się do kija, niezbyt miłego udelikatnionym plecom.— Nałogi stłumiły przywiązanie synowskie, które było jedyną moją cnotą, postanowiłem nie prosić ojca o pieniądze, i rzuciłem się w objęcia lichwiarzy, kłaniających mi się zdaleka i niosących pieniądze na wyścigi. Podpisywałem wexle, nie wzdrygając się mówić *„Oddam, jak ojciec umrze,“*—bo powiadam, że występki wzięły górę nade mną. Wkrótce stało się, jak przewidywałem, jak sobie może nieraz w występnem sercu życzyłem.— Ojciec umarł, błogosławiąc mnie i zaklinając, abym się ustatkował; a ja na drugi dzień po pogrzebie sprzedałem jednę z kamienic, popłaciłem długi i z większą jeszcze gorączką wylałem się na zbytki. Rok jeden i drugi tak przeminął, i byłbym może choć w ostatku obejrzał się na smutny koniec, jaki mnie czekał, gdyby licho nie postawiło na mojéj drodze złej kobiety.

Możesz pan sobie wystawić, że musiała być mnie podobną, skoro z zastawionych przez nią sideł nie mogłem się wywikłać. Ożeniłem się, a w rok po ślubie...ej ale to nie należy do mego opowiadania! W kałuży nikt czystéj wody nie zaczerpie, ani wiatru za skrzydła nie uchwyci. Znosiłem obojętnie jéj postępowanie względem mnie, oburzało mnie tylko tygrysie jéj serce względem własnego dziecięcia, które rzucone w ręce najemnych kobiet, poniewierało się w domu. Zgryzoty domowe odurzyły mnie do reszty, zapomniałem o wszystkiem, i przypomniałem sobie dopiero wtenczas, że mam lat trzydzieści kilka, i że prawdopodobnie mogę żyć jeszcze drugie tyle, gdy komornik przyszedł w imieniu prawa oddać całe moje mienie w obce ręce. Żona tego samego dnia wyniosła się do swéj siostry, zostawiwszy mi dziecię. Z dziecięciem i nieodstępnym moim towarzyszem, psem przeniosłem się do jakiegoś zajazdu. Sprzedałem kosztowności ukryte przed wierzycielami, i żyłem jakiś czas po dawnemu, chcąc dać poznać

światu, że zabierając mi kamienicę, ujęto mi tylko kłopotu. Tymczasem ostatnia nitka wiążąca mnie ze światem, zerwała się; dziecię niedoglądane, pozbawione troskliwości macierzyńskiéj, umarło, a na pogrzeb jego wydałem ostatni mój fundusz. Z zajazdu przeniosłem się do jednego z dawnych kolegów, i zmuszony byłem sprobować *chleba z łaski*. — Wtenczas nie chcąc towarzyszowi dawnych hulanek narzucać podwójnego ciężaru, postanowiłem rozłączyć się z moją ostatnią własnością, z psem. Wypędziłem biedne zwierzę na ulicę, a sam inną stroną poszedłem do nowego mieszkania. Wychodząc na drugi dzień rano, spostrzegłem mojego kasztana leżącego pod progiem. Zaczął się łasić, ale ja zbiłem go niemiłosiernie i kazałem stróżowi, aby go nie puszczał do kamienicy. Na trzeci dzień spotkałem go leżącego pod murem kamienicy, nie przyszedł już do mnie, patrząc tylko na mnie boleśnie. Ja i tą razą ominąłem go zdaleka, widząc, że mój koleżka i na mnie samego nie najlepszem patrzy okiem. Odtąd co ranek przychodziło poczciwe psisko, przypatrując mi się gdy wychodziłem z kamienicy, a ja choć wzruszony tem przywiązaniem, pragnąłem przynajmniéj pogłaskać go, ale wstrzymywałem się z obawy, że znów potem dla odpędzania go od siebie, zmuszony będę uciec się do bicia. Tymczasem dano mi poznać, że zawiele liczyłem na koleżeńską życzliwość. Zawód ten zachwiał do reszty słabem sercem, wyobrażałem sobie, że mi już nic nie pozostaje na świecie i postanowiłem odebrać sobie życie. Nie dziw się pan, wielu podobnych mnie próżniaków i utracyuszów w taki sposób skończyło swój zawód. Wybrałem się o świcie tu nad Wisłą w to samo miejsce, uzbroiwszy się w odwagę na jaką mogłem się zdobyć i jaką podsyciłem trunkiem. — Zaledwie stanąłem u brzegu, spostrzegłem kasztana łaszącego mi się koło nóg. Zakląłem straszliwie i uderzyłem go pięścią, ale pies nie ruszył się z miejsca; kopnąłem go nogą, pies zaskowyczał, ale znów się u nóg moich położył. Wściekałem się ze złości i odurzenia i chcąc jak najprędzéj skończyć straszliwą walkę wrzącą w moich piersiach, zebrałem resztę sił aby rzucić się jednym zamachem w nurty płynącéj rzeki, gdy nagle uczułem, że coś mnie trzyma; obejrzałem się. — Kasztan chwycił mnie zębami za połę od surduta i całą siłą oparł się na przednich łapach aby mnie nie puścić. W jednem mgnieniu oka Bóg oświecił mnie promieniem swojéj łaski; w instynkcie, w przywiązaniu zwierzęcia, poznałem cud, zrozumiałem wielkość zbrodni na jaką się odważyłem. Padłem na kolana, łzy od lat kilkunastu nieznane popłynęły po mojéj twarzy dwoma strumieniami. Boże mój! Ojcze mój! zawołałem, jam syn marnotrawny, a Ty o mnie pamiętasz; jam zbrodzień a Ty mnie ocalasz, — jam niegodny, a ty zsyłasz mi cud, zdejmujesz bielmo z oczu! — Z wzruszeniem młodzieńczych lat modliłem się gorąco łkając i szlochając jak dziecię. Gdy trochę uspokoiłem się, pierwsze moje spojrzenie padło na poczciwe zwierzę leżące zawsze w jednéj postawie. Objąłem mojego Kasztana obydwiema rękami; przycisnąłem do piersi, okryłem pocałunkami, a on lizał wciąż moje ręce i nogi i patrzył mi w oczy radośnie. Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie, przejrzałem żem jeszcze młody, zdrów i silny, że leży jeszcze przedemną bujna niwa *pracy*. Nie wahając się wszedłem jako prosty robotnik do warsztatów Ewansa, przebyłem mężnie pierwsze lata i dziś z pracy rąk moich mam skromne, ale pewne utrzymanie.

Otóż przyznaj pan czy nie powinienem być przywiązanym do tego zwierzęcia? Do owéj strasznéj chwili żyłem życiem szału, szaleństwa i występków, — teraz pojąłem jakim każdy być powinien, że należy wypłacać się bliźnim *użytecznością*, kosztując słodyczy wypoczynku po pracy. — Chciałem zgubić duszę samobójstwem ciała, a teraz umrzeć mogę jak prawy chrześcijanin z krzyżem Zbawiciela w ręku i nadzieją w Jego miłosierdzie w sercu. Czyż to nie słuszny powód do wielbienia miłosierdzia Bożego i do wypłacenia się z długu stworzeniu, które Bóg użył jako narzędzie swéj łaski.

Herbata.

Chiny mogą służyć za dowód, czego może dokazać w kraju rolniczym niezmordowana z ciągłą wytrwałością połączona praca.

Tam widzieć można zielone łąki i winnice, niezmierne obszary pól, uginających się pod

ciężarem złotych kłosów, przeplatane pysznemi ogrodami z owocowych drzew i woniejących kwiatów, oraz zachwycającemi gaikami morw, cedrów i cyprysów. W tym to kraju i na sąsiednich wyspach Japonii, hodują naszą ulubioną herbatę. Jest ona liściem rosnącego w tych krajach krzewu. Krzew ten z pozoru do kamelii podobny, dochodzi od półtora do trzech łokci wysokości i ma wiele gałęzi i gałązek ozdobionych świeżym zielonym liściem. W trzecim dopiero roku wydaje dobre do użycia liście. Jeżeli jednak wiek krzewu przejdzie lat siedm, to jego listki zmniejszają się, dziczeją.

Wtedy ścinają pień, z którego na następne lato wyrastają nowe świeżą zielonością i kwiatami zdobne gałązki.

Liście herbaty za świeża nie mają żadnego zapachu i odznaczają się gorzkim smakiem.

Zbiór ich odbywa się kilkakrotnie. Pierwszy raz w końcu lutego i cena tego zbioru jest wysoka. Zbiór drugi odbywa się na początku maja, a w tym dwojakie są liście: jedne z nich dają nam zieloną, drugie zaś czarną herbatę. Zbiór trzeci i ostatni odbywa się w sierpniu i dostarcza pośledniejszéj herbaty.

Najdroższą jednakże jest tak zwana herbata Cesarska. Dwojakie jest o niéj mniemanie. Jedni utrzymują, że składa się ze zbieranych w początku marca nierozwiniętych (nieodemkniętych) jeszcze pączków; inni zaś dowodzą, że pochodzi z odmiany téj rośliny uprawianéj w Japonii, gdzie ziemia jest najlepszą pod tę roślinę.

Liście herbaty przed wysłaniem do handlu, ulegają niejakiemu przygotowaniu. Najprzód za pomocą suszenia odejmują im gorycz, a nadają miły smak i aromatyczny zapach, a to w następujący sposób:

Zerwane świeżo listki herbaty suszą na blatach, umieszczonych w stosownie urządzonych ku temu piecach, następnie gdy te listki skutkiem ciepła zaczynają pękać, wtedy użyci na ten cel robotnicy, zwijają czemprędzéj każdy listek zosobna i rzucają na stół, gdzie inni je przewietrzają, aby nagle stygnąc zachowały formę jaką im przez skręcenie nadano. Następnie herbata pakuje się w skórzane pudła i rozsyła do użycia.

Najlepsze gatunki herbaty mamy z prowincyi Chińskiéj Nanking, która cała niemal pokrytą jest plantacjami téj rośliny. W teraźniejszych jednakże czasach przekonano się, że roślina ta nie wymaga wyśmienitego gruntu, ani zbyt ciepłego klimatu, gdyż zaczęto ją uprawiać z powodzeniem w Brazylii, (w Ameryce) Hiszpanii, a nawet w południowéj Francyi.

Użycie herbaty nastało w Europie dopiero w początkach siedmnastego wieku, za pośrednictwem holendrów którzy ją od Chińczyków w zamian za szałwią brali. W Chinach jednakże i Japonii znaną i lubianą była z czasów najdawniejszych.

Chińczycy przypisują herbacie własność orzeźwiania i oddalania snu z powiek, a ztąd używają jéj także jako lekarstwo przeciw ospałości. Za dowód tego ich mniemania służyć może następująca i powszechnie tam za prawdziwą uważana legenda.

Otóż według niéj w czasach bardzo dawnych Indyjski książę Darma-China miał przybyć do Chin, w celu nauczania i nawracania ludzi do wiary w jednego Boga. Czcigodny ten książę postanowił nie prędzéj iść spać, aż zamiary jego przyjdą do skutku i całe Chiny zajaśnieją światłem opowiadanéj przez niego nauki.

Pewnego razu jednakże gorąco i utrudzenie przezwyciężyły jego postanowienie i zasnął. Po przebudzeniu miał sobie samemu gorzkie wymówki za tę mimowolną w wykonaniu zamiarów słabość, a dla oddalenia nazawsze snu, odciął sobie powieki i rzucił je na ziemię. Dobroczynna Opatrzność wynagradzając według ich podania tak nieporównaną gorliwość i pracę, uwieńczyła to zdarzenie wyrośniętym na tem miejscu upadłych powiek drzewkiem, mającem po dziś dzień własność oddalania snu z powiek człowieka.

Historya o dwóch dziewczętach.

Nim przystąpię, Czytelnicy moi do odpowiadania, zaznajomię was nieco z miejscem, z którego się ta powiastka wysnuwa.

Starożytne miasteczko Węgrów na Podlasiu, odległe od Warszawy o mil dziesięć, jak mówi historya, było niegdyś w lepszym stanie.

Dziś główną ozdobą jego są trzy kościoły, jeden farny, przy którym dawniéj było seminarium, drugi ojców Reformatów i kościołek ewan-

gielicki już w nowszych czasach wybudowany. Jest tam także i bożnica, przy tem dwie szkółki elementarne. Połowę prawie mieszkańców stanowią żydzi, i dlatego też to zapewne mało tam czystości i porządku widać po ulicach, z których ledwo parę jest wybrukowanych.

Lud tam zamieszkały jak w ogóle na całem Podlasiu jest bardzo nabożny i posiada wiele przymiotów, niesłusznie przez wielu skąpym nazwany, i nazwany tylko przez tych którym się praca, oszczędność i rządność niepodoba.

Mieszczanie wszyscy zajmują się tam gospodarstwem rolnem, a wielu z nich wyrabia w rękodzielniach sukno grube, tak zwane bają, na ciepłe kapoty, algierki z kapturami i płaszcze, które są powszechnym ubiorem braci szlachty Podlaskiéj. Niektórzy z sukienników przy oszczędności znanéj na Podlasiu dorobili się i dorabiają znacznego mienia.—Do rękodzielni używają oni zazwyczaj kobiet, zwanych prządkami, które oczyszczają i przędą wełnę na sukno. Mały ich zarobek, bo około kilkanaście groszy dziennie wynoszący, zaledwie im wystarczył na życie, lecz zważając na taniość utrzymania się w tych stronach, jako też i na to, że ich gospodarze mają pieczę o nich, udzielając im zagonów pod kapustę, brukiew lub kartofle; stan ich jeszcze nie jest tak nieznośnym.

U jednego z takich rękodzielników pracowały wspólnie w podobny sposób dwie prządki, o których wam powieść przynoszę.

Nadmienić jednak jeszcze i to muszę, że wyrobnice takie, czy to zachęcone wiadomością o lepszych zasługach w Warszawie czy też zwabiane zachwalonemi jéj przyjemnościami, w dość znacznéj liczbie opuszczają swoje miasteczko i zdążają do Warszawy, zkąd znowu po krótkim czasie prawie wszystkie powracają, przekonawszy się że największa przyjemność i szczęście bywają w miejscu rodzinnem, lub w gronie familii i znajomych.—Muszę wam też powiedzieć o pocztcie szczególniejszéj, za pomocą któréj dostają się do Warszawy.— Jest w Węgrowie w dość już podżyłych latach mieszkaniec, nazwiskiem Kwiatkowski. Postać jego skrzywiona, głowa zawsze na prawą stronę przechylona i nędzny ubiór wzbudzają w każdym politowanie, kto go raz pierwszy zobaczy. Lecz przypatrzywszy mu się bliżéj, ujrzysz wesołe, rumiane jego policzki, które przy wiecznym jego uśmiechu wcale nie każą domyślać się nędzy; a wszedłszy z nim w rozmowę, poznasz że jest zupełnie ze swego stanu zadowolonym.

Otóż człowiek ten co kwartał przywodzi do Warszawy, która mu jest dobrze znaną, po kilka dziewcząt na służbę; co kwartał też widzisz go na trakcie z Kałuszyna postępującego pewnym i żwawym krokiem ku Warszawie na czele kilku dziewcząt, z zawiniątkami pod pachą i z sporym kijem w ręku.-- Znajomości jego dość są w Warszawie rozgałęzione, i rzadko powraca ze sługą, któraby z jego poręki służby w Warszawie nie znalazła. Sługi te w razie otrzymania miejsca, udzielają mu skromne wynagrodzenie, z czego on widać jest bardzo zadowolony, bo od lat kilkunastu widzieć go można zawsze wesołym i zgodnym ze swym stanem, a twarz jego nie zmienia się wcale pod wzrastającą starością. Za pomocą więc tego przewodnika dwie nasze dziewczyny dostały się do Warszawy.

Marysia Kowalczanka była to dobra dziewczyna, choć nie ładna, ale za to rozsądna, pobożna i bardzo pracowita. To też jak się dostała do Warszawy, myślała, jakby zaraz gdzie znaleźć robotę, żeby zarobić na starego ojca, co już nie mógł pracować. Kwiatkowski zaprowadził ją do jednego domu, gdzie ją zaraz przyjęli, bo dobroć duszy zdradza się mimowoli na twarzy. Z początku myła naczynia i inne grubsze roboty odbywała w domu; była powolną, robiła co jéj tylko kazali nawet inni starsi słudzy, i dlatego też ją wszyscy polubili. A że miała wielką ochotę nauczyć się jeść gotować, prosiła więc kucharki, aby jéj czasem co pokazała i nauczyła jak się co robi, na co się ta chętnie zgodziła i niezadługo nauczyła się Marysia nieźle kucharstwa, bo kiedy jest ochota, wszystko idzie łatwo. Zresztą Marysia w żadne znajomości się nie wdawała, nie opuszczała nigdy nabożeństwa, bo też i w rodzinnem mieście była uważaną za bardzo przykładną dziewczynę.— Kiedy jéj zdawało się, iż potrafi wypełnić trochę trudniejszą służbę, ale razem i zyskowniejszą, poszła do swéj pani i tak rzekła do niéj.

—,,Moja Pani! ja wprawdzie wdzięczna jestem Pani żem została przyjętą do służby i u niéj wyuczyłam się trochę, tak, że teraz mogę lepiéj na siebie zarobić. Nie chciałabym jednak porzucić Pani, ale mam ojca starego, co potrze-

buje wsparcia odemnie, muszę więc i na niego pracować; mogłabym już pójść na kucharkę do jakiego mniejszego domu. Czy więc nie byłaby Pani tak łaskawa, żeby mnie gdzie poleciła, możeby mnie kto przyjął; nie chciałam nigdzie starać się o miejsce, pokibym pani za jéj łaski nie podziękowała.“

Podobało się pani dobre serce Marysi, przyrzekła jéj dopomódz i pozwoliła zostać jéj u siebie, pókiby sobie służby nie znalazła. Dobrym Bóg i ludzie pomagają. Niedługo trafiło się, że jedna podeszła pani potrzebowała kobiety do gospodarstwa; tam więc jéj pani przedstawiła ją, i Marysia została przyjętą na służbę, gdzie tak dalece pani swéj się zasługiwała, iż teraz rządzi u niéj całem gospodarstwem.

Teraz zaś posłuchajcie opowiadania o zgrabnéj Joasi Miłkównie. Wiedziała ona o tych swoich przymiotach i chciała żeby jej tylko o tem mówili. Nie lubiła się modlić i nie poszłaby nigdy do kościoła, gdyby jéj nie napędzono. Cały tydzień myślała tylko jak się ubierze w niedzielę na tańce. Bała się opalić, chciała mieć ręce delikatne, dlatego nie lubiła pracować, ani w polu, ani koło komina. Kiedy ją już przymusili do roboty, to nic dobrze nie zrobiła, bo zamiast uważać na robotę, rozmyślała o zabawach, lub o tańcu i o tem co jéj który chłopiec powiedział. Bardzo jéj się chciało dostać do Warszawy, bo słyszała, że tam dobrze się bawią i myślała że jéj przyzwoiciéj będzie w tak dużem mieście niż w lichem mieścinie. Matka odwodziła ją usilnie od tego zamiaru, ale wreszcie nie wiedząc, co już robić z tą roztrzepaną głową, przystała i na to, żeby ją wysłać do Warszawy, zalecając jéj jednakże usilnie, aby myślała tylko o służbie i dobrem prowadzeniu się. Ale to wszystko było, jak grochem o ścianę. Joasia tego nawet i nie słuchała myśląc tylko o tem jak przybędzie do Warszawy. Biedna dziewczyna przyszła tam nareszcie. Pewna pani przyjęła ją do dzieci, ale Joasia nie zdała się do téj służby: dzieci hałasiły nieznośnie, pięły się po stołach i krzesłach, a ona nie uważała, że mogły spaść i pokaleczyć się; nie myślała o ich czystości; słowem jak dawniéj tak i tu Joasia myślała tylko o swéj twarzyczce, i aby się przyozdobić trawiła na tem nieraz całe godziny. Wynosząc się nad inne sługi, stała im się wkrótce nieznośną, odpowiadała nawet krnąbnie swojéj pani.—Nareszcie kiedy dnia jednego poprowadziła dzieci na spacer za Wolskie rogatki, blisko których służyła, puściła je żeby same biegały, a tymczasem zajęła się rozmową z jakimś przechodzącym. Nagle słyszeć się dał krzyk przeraźliwy: jedno dziecię wpadło w głęboką gliniankę, szczęściem ktoś przechodzący skoczył w wodę i wyratował biednego chłopczynę co już się z głową zanurzał. Ale możecie sobie wystawić, jak matka dziecięcia przyjęła Joasię: kazała jéj natychmiast dom opuścić, i oto nasza dziewczyna została sama nie wiedząc gdzie się obrócić, bez wsparcia, bez przytułku i bez żadnego dobrego świadectwa za sobą. Było to nad czem pomyśleć, ale czyż Joasia mogła pomyśleć co rozumnego?

— „Nie będę już służyć do dzieci, rzekła sobie, to bardzo męczy i nudzi. Przystanę za garderobiannę, nie wiem tylko do kogo się po to udać, ale mniejsza o to, poproszę rajfurki. Zaświadczenia przez osoby tego rodzaju dawane nie są rzetelnemi, ale są znowu ludzie, co niebardzo przebierają i mają w tém swoje przywidzenia...“ Joasia przeto znalazła sobie tym sposobem służbę, a to u jednéj pani, o któréj nie najlepiéj mówiono.

Niema potrzeby opowiadać wam więcéj szczegółów z życia Joasi.

Ręka Najwyższego ukarała ją mocno, niedługo piękność jéj znikła, a powoli i nędza opanowała ją, jak zdobycz swoję.

Nie chcę już opisywać wam tego okropnego stanu i téj postaci pokrytéj łachmanami, gdy raz przechodząc ulicą w żebraczce poznałem ową piękną niegdyś Joasię.

Matka jéj żyje dotąd i zapewne nie wie o tych smutnych następstwach, bo też ona, znana z poczciwości kobieta, możeby nie przeżyła tego nieszczęścia.

Piękność bowiem jest darem opłakanym, kiedy się bardzo wiele ją ceni. Piękność twarzy o tyle tylko coś znaczy, o ile jest obrazem piękności duszy.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 22 grud. (3stycznia) 1856|7 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*